

**KLEMENS
JUNOSZA**

ZAJĄC

Klemens Junosza

Zajac

«Public Domain»

Junosza K.

Zajac / K. Junosza — «Public Domain»,

Na jarmark w Okpiszewie zmierza Michał i Michałowa. Początkowo mężczyzna nie chce zdradzić żonie, co chce na jarmarku kupić. Gdy rozmawiają, drogę nagle przebiega zajac. Przesądny Michał kojarzy to ze złą wróżbą i chce zawrócić, jednak Michałowa namawia go, żeby nie wierzył w zabobony. Ostatecznie chłop daje się przekonać i razem docierają na jarmark. Czy rzeczywiście czeka ich nieszczęście? Klemens Junosza to powieściopisarz, nowelista i felietonista drugiej połowy XIX wieku. Przez długi czas pisywał do różnych czasopism warszawskich i lubelskich. W swoich utworach często poruszał tematykę związaną ze środowiskami chłopskimi, mieszczańskimi i żydowskimi.

© Junosza K.

© Public Domain

Klemens Junosza

Zając

Był pogodny ranek jesienny. Na trawie poczerńiałej, w rowach przydrożnych, na ciemno zielonej runi oziminy znać było mróz biały: słońce zarumieniło już wschód, zapowiadając dzień jasny i pogodny, jeden z tych pięknych dni, jakimi nas czasem spóźniona jesień obdarza.

Na drodze panował ruch niezwykły. Na furach i pieszo dążyli chłopcy ku miasteczku, niektórzy prowadzili krowy lub woły; owdzie kobieta szamotała się z „gadziną”, szarpiąc ją umocowanym u tylnej nogi postronkiem, tam znów jakaś jejmość z waszecia dumnie spoglądała z wysokości rozklekotanej bryczki, owdzie przemyskał na biedce Żydek zaaferowany, okładając biczem wychudzoną szkapinę.

Wszyscy dążyli do jednego celu – a wszystkim było pilno, każdy się śpieszył.

Bo też to i dzień niezwykajny. Wtorek po świętym Marcynie, wielki jarmark w Okpiszewie, sławny na całą okolicę. Na ten dzień ściągali do Okpiszewa z sąsiednich, a nawet z bardziej odległych miasteczek czapnicy, szewcy, bednarze, blacharze, handlarze sukman i kozuchów. Rozbijali oni swoje kramy i namioty na rynku, ustawiali improwizowane półki, ochrypłym głosem zachwalając i reklamując swój towar.

Wiedzieli oni dobrze, że dzisiejszy dzień to żniwo – a wszyscy chłopcy wiedzieli również, że dziś w Okpiszewie, oprócz chyba ptasiego mleka, wszystkiego, co dusza zapagnie, dostanie. Szklanych paciorków, wstążek, koralików, galantych kozików, spinek z lusterkami, grzebyków, którymi można najtwardszy tynek z murów oskrobywać, obwarzanków, kielbasy, pierników, śledzi i innych wykwinnych łakoci...

Chłop, choćby miał się zupełnie bez obuwia obywać, nie kupił butów gdzieindziej, tylko na święty Marcin w Okpiszewie, dziewczyna tam kupowała czerwono malowaną skrzynkę na wyprawę, gospodyni chustkę, albo obraz święty na ozdobę izby.

Okpiszewscy Żydzi na dwa tygodnie naprzód przygotowywali zapasy w szynkach, sklepach, kramach; cieszyli i radowali się, żałując zarazem, że ten święty Marcin nie bywa przynajmniej co tydzień.

Na drodze aż się czerniło od fur, można było słyszeć wesołe rozmowy podróżnych, kwik trzody lub też przeciągłe ryczenie krów, oglądających się ciągle za wioską, z której je wyprowadzono.

Wśród pieszych szedł także Michał Gil, gospodarz z Zawadówki, z małżonką swoją Magdą, młodą jeszcze, przystojną kobietą.

Michał szedł zamaszysto, kijem się sękatym podpierał, na plecach miał kobiałkę łubianą, u pasa kozik i krzesiwko, jak na porządnego gospodarza przystało. Żona dotrzymywała mu kroku o tyle, o ile „gadzina”, prowadzona przez nią na jarmark, nie szarpała postronkiem i nie zbaczała do rowu.

– Widzisz, Michale – mówiła baba – chciało ci się samemu iść na jarmark, ale docekanie twoje! Ja dziewczką byłam jeszcze u ojców, w chałupie, i dlatego żaden jarmark przeze mnie się nie obywał – a teraz, na swoim gospodarstwie, mam w taki dzień siedzieć, jak zamurowana.

Chłop ręką machnął.

– Zawdy – rzekł – jeno pretensje masz. Chciałem iść sam, bo jenteres mam taki, co do niego baba tak potrzebna, jak dziura w moście, albo jak nieprzykładając, dyabeł w Częstochowie.

– Ot, zamknij lepiej gębę! żebyś w złą godzinę nie wymówił! Jenteres ma! ciekawość, jaki to jenteres, co może być przez baby? Chyba kożę pójdziesz odsiadywać.

– Nie będę ja nic odsiadywał, bom nikogo nie zabił, ani jenszej rzeczy nie zrobił, a co do jenteresu... tfy, niech cię marność ogarną!...

– No – a co?

– Musi chyba nie widziałaś? zając bez drogę przeleciał... i jeszcze pytasz się co? Magda – dodał ciszej – mnie się widzi, że zawdy lepiej się wrócić.

– Bez głupiego zajaca?! a żeby on skąpał prędzej. Nie słyszałeś ty, jak ksiądz na jambonie przykazywał, żeby w takie głupie bajdy nie wierzyć?!

– Et, ksiądz księdzem, a zajac zajacem. Przepomniałaś to już, jak łośńskiego roku na wiosnę, jakem to do lasu jechał i baba mi drogę przesła, to mi się koło złamało?

– To musi baba w tem winna, żeś woza w domu nie opatrzył. Sprawiedliwie to powiadają: że kiepskiej tanecznicy to i obrąbek zawadza; jenszy niezguła porządku kiele woza nie dojrzy, a jak mu się w drodze szkoda zrobi, to na babę spędza, albo choć i na zajaca.

Chłop zaczął się w głowę drapać.

– Nie – rzekł – nie, Magdusiu, chyba się zawróćmy, po co guza szukać, mówię ci, że będzie nieszczęście.

– No – a jakże z tem jenteresem, co przez baby miał być?!

– Obendzie się.

– Niby jak?

– A tak, mam stare buciska, to w nich, siako tako, do godów przechodzę.

– Ehę! toś ty taki jenteres miał, buty chciałeś se kupić.

– A ty skąd wiesz?

– Skąd? musi mi ten zajac powiedział, coś go się złąkł, jak złęgo.

Chłop usiadł nad rowem i usiłował przekonać żonę, żeby nie iść.

– Powiadasz – mówił – że ksiądz zakazuje; no dobrze, o babie zakazował z jambony, bom sam słyszał, ale o zajacu nic nie gadał.

– Słuchajno, Michał – odrzekła żona, trącając go potężnie w bok – albo ja ci kiedy krzywa była? albo ja o twoje dobro nie stoją? czy ja latawiec, czy ja tobie nie gospodynii, nie żona, twoim dzieciom nie matka? Czy to nie dbam, nie haruję, jak wól?

– No jużci, to prawda, po sprawiedliwości, ja tam powiadam, żeś rzetelna kobieta, pocziwa, ale też i ja dla ciebie nie pies, krzywdy ode mnie nie masz, choć się przemówimy czasem, to dlatego gnatów ci nie przetrącam, jak insze swoim kobietom, nie skrzywdzę, przyodziewek też masz, jak się patrzy, głodu nie mrzesz.

– Zgrzeszyłabym też, żebym powiedziała, że nieprawda; przemówienie to swoja rzecz, a choć mnie jeszcze po ostatniem przemówieniu plecy bolą i stara Zagnańska musiała mnie wódką z psiem sadłem smarować, dlatego ja sobie nie krzywduję. Zawdy ty mnie mąż, a ja tobie żona, a co Pan Bóg miłosierny złączył, to nic nie rozłączy, jeno co rydel a motyka. Wstań, wstań, Michałku, pójdziewa, co se tam będziesz brał do serca, chodź.

Chłop namyślał się.

– Oj, oj! – mówiła dalej kobieta – wszystkie wy chłopcy jednakie, a nie przykładając, wszystkie sielmy. Nie bój się, żebym tak temu dziesięć lat, jesce kiej u ojców w chałupie byłam, żebym tak, na to mówiący, rzekła: chodź, Michałku, tobyś na stado wilków nie patrzył, jeno leciał. Może nie?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.